Nr. 48. Poznań, niedziela 29-go listopada 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Nieco słońca, wiele mroku.

W chwili, gdy słowa te kreślimy, dwa nasze stronnictwa polityczne, stają po raz pierwszy ramię przy ramieniu do wspólnej walki wyborczej z niemieckimi przeciwnikami. Wprawdzie nie mandaty poselskie do sejmu i parlamentu, lecz opróżnione krzesła w radzie miejskiej miasta Poznania są przedmiotem walki i dla tego moment obecny posiada czysto lokalne i w kierunku politycznym drugorzędne znaczenie, ale kompromis zawarty między t. zw. stronnictwem narodowem a stronnictwem ruchu ludowego jest w naszych warunkach objawem poważnego znaczenia, — objawem zdrowego rozwoju stosunków. Gdy przed trzema tygodniami, dzięki inicyatywie ruchu ludowego, rozpoczęły się układy między delegatami dwóch komitetów wyborczych, wyraziliśmy nasze zadowolenie z rozumnego zastósowania strategicznej zasady „getrennt marschieren, vereint schlagen“, nie tając przy tem zdziwienia, że mimo widocznych korzyści politycznych, płynących z kompromisu powaśnionych stronnictw, znalazły się żywioły zasadniczo przeciwne wszelkiemu porozumieniu i wszelkiej akcyi wyborczej, opartej na wspólnych ustępstwach. Po mieście krążyły pogłoski, że w łonie komitetu „narodowego“, ozwało się głosem protestu kilku nieprzebłaganych zwolenników Kuryerowej barwy, zalecając zerwanie wszelkich węzłów z ruchem ludowym, jako intruzem naruszającym zasadę „solidarności“, a pogłoski te zamieniły się niebawem w pewność, gdy dwóch członków komitetu złożyło urzędy, odgrażając się niedwuznacznie, że protest swój zaniosą na walne zebranie wyborców i tam zażądają wyroku na tych, którzy akcyą kompromisową legalizują niejako secesyę.

Pod wrażeniem takich wieści krążących po mieście zdążaliśmy w ubiegłym tygodniu na walne zebranie stronnictwa narodowego w tem przekonaniu, że komitet będzie zniewolonym zaciętą stoczyć walkę, zanim dla listy kandydatów swoich uzyska sankcyę wyborców. Przypuszczenia te jednak okazały się mylne. Za kulisami musiało się rozegrać jakieś dyplomatyczne porozumienie, które przewidywane starcie polemiczne usunęło z widowni walki. „Nieprzejednani“ tem tylko zaznaczyli stanowisko swoje w obec kompromisu, że na polu bitwy nie zjawili się wcale, a komitet bez najmniejszego oporu uzyskał zatwierdzenie swych kandydatów.

O ile jednak w tym kierunku witamy z radością zachowanie się wyborców miasta Poznania, którzy wreszcie zrozumieli, że tradycyjnemu hasłu: „precz z stronnictwami!“ rozwój stosunków kłam zadał stanowczy, — o ile za symptom zdrowszej polityki poczytujemy to postawienie „ruchu ludowego“ na stopie „równych z równymi“ przez tych, którzy dotychczas uważali się za jedynych przedstawicieli społeczeństwa polskiego i mieli zawsze w pogotowiu słowo „odstępca“ wobec demokratycznej secesyi, — o tyle trudno zrozumieć, trudno przynajmniej zgodzić się na tę apatyczną fizyognomię, którą objawiło walne zebranie stronnictwa narodowego. Wsłuchując się w tę ciszę grobową, którą zgromadzeni odpowiadali na każdorazowe otwarcie dyskusyi w tej lub owej kwestyi, trudno było oprzeć się wrażeniu, że wypełnienie sali przez wyborców jest tylko mechanicznem spełnieniem obowiązku a zamiłowanie dla sprawy publicznej, żywy interes dla zadań życia komunalnego i politycznego drzemie sobie aż miło. Gdy prezes komitetu, p. dyrektor Więckowski, oświadczył, że Koło polskie w parlamencie nie raczyło wcale odpowiedzieć na rezolucyę wyborców, żądającą usunięcia dotychczasowej, bezwzględnej prawie tajności uchwał, a Koło sejmowe wobec rezolucyi tej rzuciło tylko dyplomatyczną negacyę, to ci sami wyborcy, którzy rok temu jednomyślnie zatwierdzili opozycyjne stanowisko swoje wobec praktyk reprezentacyi naszej w obu izbach niemieckich, nie znaleźli dzisiaj ani jednego słowa krytyki na lekceważenie swych życzeń. Czyżby nastąpił tu jakiś powszechny radykalny przewrót w przekonaniach społeczeństwa, — czy też tradycyjna choroba apatycznego „laisser faire, laisser aller“ rozpoczyna królestwo swoje?

A potem, gdy p. dr. Krysiewicz przedstawił wszechstronny obraz działalności reprezentacyi gminnej, — gdy poruszył cały szereg palących i spornych kwestyi, najściślej złączonych z życiem i rozwojem obywatelstwa poznańskiego, — to znowu po oklaskach nastąpiła cisza grobowa, nikt nie żądał informacyi, nikt nie pytał o bliższe szczegóły tej czy owej sprawy komunalnej, nikt nad ogrobleniem Warty, nad budową targowiska dla bydła, nad uregulowaniem koryta Bogdanki, nad pensyami nauczycielskiemi i całym szeregiem zadań wchodzących w zakres obowiązków reprezentacyi miejskiej, a nie pozbawionych poniekąd i politycznej barwy, nie rozpoczął dyskusyi.

Najsmutniejsze jednak wrażenie wywarła dezercya całej prawie inteligencyi, gdy walne zebranie przystąpiło do tworzenia podkomitetów wyborczych. W listach zapisywali nazwiska swoje prawie wyłącznie drobni przemysłowcy i rzemieślnicy, a panowie adwokaci, lekarze, śmietanka kupiectwa i t. d. wysłuchawszy referatów i podniósłszy ręce za kandydatami komitetu, opuścili salę natychmiast, spychając uciążliwsze obowiązki na „młodszych braci“. Czy takie postępowanie świadczy o dojrzałości obywatelskiej, czy taka apatya w twardej walce o byt narodowy nie kryje w sobie poważnych niebezpieczeństw, czy taki przykład inteligencyi nie oddziałuje demoralizująco na warstwy ludowe, spoglądające ze zdziwieniem i oburzeniem na panów, „co tak pięknie prawić umieją o żołnierstwie kresowem“ — nad tem chyba wiele słów tracić nie potrzeba.

Popsuło się coś w naszem społeczeństwie i psuje się ciągle. Nad nami huczy burza niemiecka a my śpimy i — piwo pijemy.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Rozumne słowo.

W „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

Wszystkie stronnictwa niemieckie dążą do germanizacyi ziem polskich, różnią się zaś tylko w użyciu środków, do tego celu wiodących. Jedni zalecają przemoc, drudzy

dodają pierwszeństwo odpowiednio wykierowanej polityce ekonomicznej, trzeci sądzą, że nadanie Polakom pewnej autonomii byłoby może najskuteczniejszem. Dla nas ten lub ów system może być korzystniejszym, ale dosyć naiwnem chociaż wytłómaczonem jest wyrażanie życzenia, ażeby rząd używał tego systemu, którego my chcemy, i przekonywanie władzy niemieckiej, że dla niej ten właśnie system będzie najodpowiedniejszym. Nieraz można znaleźć w pismach polskich dowodzenie, któreby było śmiesznem, gdyby nie było smutnym dowodem bezmyślności politycznej — że gwałtowne środki niemczenia chybiają celu, bo wzmacniają odporność narodową ludności polskiej. Jak gdyby nam właśnie o to chodziło, żeby nas niemczono, ale tylko łagodnemi środkami. Niemcy są państwem konstytucyjnem; możemy więc i powinniśmy domagać się równych praw, które nam ustrój państwowy zapewnia, możemy i powinniśmy wyzyskiwać każdy pomyślny dla nas układ warunków politycznych i zbieg okoliczności. Jest to jedyna droga legalna i praktyczna regulowania i poprawy stosunku społeczeństwa polskiego do rządu niemieckiego, wszystkie inne prowadzą na manowce.

* * *

Nowa Redakcya „Dziennika Pozn.“

W „Kuryerze Lwowskim“ znajdujemy rozumny artykuł o najświeższej ewolucyi stosunków poznańskich. Dla braku miejsca podajemy tylko kilka ustępów:

Po śmierci Franciszka Dobrowolskiego — pisze „Kuryer Lwowski“ — sądzono na chwilę, że społeczeństwo polskie ocknie się z letargu, że da za wygrane polityce, która, oprócz upokorzenia żadnych nie przyniosła korzyści. Redakcyę wpływowego niegdyś „Dziennika Poznańskiego“, który przez długie lata prowadzony był w duchu bądźcobądź liberalniejszym, i powstrzymywał ultrareakcyjne zapędy wielkopolskich klerykałów, grupujących się około organu duchowieństwa, a który w ostatnich dopiero czasach zaczął lawirować, choć i wtedy nie poszedł na bezwzględne usługi „ugodowców“ — otóż redakcyę „Dziennika“ powierzono na razie człowiekowi, znanemu z przekonań demokratycznych, trzeźwo patrzącemu na fantasmagorye „nowego kursu“, posłowi Głębockiemu. Polityczne jego stanowisko nie mogło się jednak podobać przemożnej klice; obawiano się, że dzięki jego zabiegom, jako redaktora wielkiego pisma, robota „ugodowców pójdzie na marne, że „niesforne“ żywioły przeszkodzą znowu łasce pańskiej mniej bystrego dosiadać konia. Postarano się więc o usunięcie niebezpieczeństwa i na czele „Dziennika“ postawiono osobistość fanatycznie hołdującą w dziedzinie zjawisk społecznych teoryom bezwzględnego wstecznictwa, w dziedzinie polityki tendencyom bezwzględnego lojalizmu. Nowy redaktor naczelny, p. dr. Wład. Łebiński, miał niejednokrotną sposobność zaznaczenia, czem jest i czego można się po nim spodziewać: przedewszystkiem zaś jako korespondent petersburskiego „Kraju“ oddawał stańczykom wielkopolskim nie małe usługi.

„Habemus papam“ — mogą zawołać Wielkopolanie, stanowisko redaktora „Dziennika Poznańskiego“ nie miało bowiem dotychczas nigdy charakteru czysto dziennikarskiego; na „Dziennik Poznański“ zwracały się oczy wielkiej części społeczeństwa w zaborze pruskim; redaktor trzymał niejednokrotnie w swym ręku wszystkie niemal nici tamtejszego życia publicznego; nie bez pewnej racyi nazywali go też z przekąsem przeciwnicy papieżem. Jest to stanowisko niezmiernie wpływowe — tem wpływowsze, iż Wielkopolska była zawsze skłonną do poddawania się kierownictwu rozmaitych „autorytetów“.

Odtąd więc, obok „Kuryera Pozn.“, który w bizantyńskim zelotyźmie polecał niedawno poruczenie swych losów cesarzowi, bo ten, jako „władza od Boga pochodząca, nic złego uczynić nie może“, będzie Wielkopolska posiadała nowego zapalonego rzecznika zasad i pojęć, rzucających w błoto godność narodu, stawiających najnikczemniejsze służalstwo na piedestale narodowego obowiązku.

A czy od czasu pamiętnej mowy toruńskiej, owego „point de reveries“, zmieniło się cośkolwiek w stosunkach zaboru pruskiego, coby uprawniało do prowadzenia takiej, a nie innej polityki, do oddania na pastwę polityki tej jedynego wielkiego pisma poznańskiego, które — mimo błędów, mimo chwilowych zboczeń z prostej drogi — reprezentowało bądź co bądź zdrowy kierunek narodowy, daleki od bezwzględnej abnegacyi narodowej? Nie godziliśmy się z spoleczną barwą „Dziennika“, odmawialiśmy mu niejednokrotnie zdolności zrozumienia nowych prądów, jakie w ostatnich czasach zaczęły się przejawiać pomiędzy ludem, uznawaliśmy jednak — po za chwilowemi zboczeniami, powtarzamy to — jego zasługi na polu obrony interesów narodowych w zaborze pruskim.

Stosunek rządu pruskiego — co więcej stosunek całego niemal narodu niemieckiego, przesiąkłego duchem Bismarckowskim, pozostał ten sam, a może jeszcze się pogorszył...

Społeczeństwu wielkopolskiemu nowe zatem grozi niebezpieczeństwo, a jeżeli o niem rozpisaliśmy się tak szeroko, jeżeli zwracamy na nie uwagę i naszej dzielnicy, to dlatego, ponieważ jest to dowodem, iż krecia, demoralizująca robota naszych stańczyków znajduje nowy sukurs w Poznaniu. Połączyli oni swe siły do tem skuteczniejszej deprawacyi społeczeństwa.

....A deprawacyi tej coraz to wyraźniejsze widzimy ślady. Trójlojaliści ze szkoły Koźmiana występują pomiędzy innemi przeciw tak zwanym demonstracyom, jeżeli te mają na celu podtrzymywanie ducha polskiego; natomiast inną zapełnie przykładają miarę, gdy idzie o demonstracye ducha tego zabijające. Do takich demonstracyi owszem sami zachęcają. Gdzież przed kilkoma jeszcze laty można było przypuszczać, że lud polski dla zamanifestowania narzuconego mu lojalizmu będzie czynny brał udział w patryotycznych uroczystościach niemieckich w rodzaju Sedanu? A przecież w procesie opalenickim wyszły na jaw tego rodzaju fakta, że robotników polskich, biorących udział w święcie sedańskiem, bito i łżono za to, że nie umieją po niemiecku, sławili wielkość oręża niemieckiego piosenkami polskiemi? A czyż przed kilku laty można było

---

MAKS NORDAU.

Jak one potrafią kochać!..

(Dokończenie.)

— Gdzie jest pański kapelusz? — zapytał oficer.

— Wyszedłem z mieszkania bez kapelusza.

— To podejrzane! — rzekł ku memu przerażeniu.

Myślał przez chwilę, długą dla mnie jak godzina, potem wydał rozkaz, aby mnie złożono na wozie, stojącym w pobliżu.

Czterej żołnierze brutalnie porwali mnie na ramiona, wzięli na wóz i przewieźli do l'Hôtel Dieu.

Zamilknął.

Ona patrzyła na niego oczyma pełnemi łez.

— Oh, gdybym ci mogła opowiedzieć, co przeżyłam przez tę jedną noc! Zaledwie wyszedłeś, kiedy odźwierny wbiegł do mojego pokoju. „Panno Paulino! — zawołał — panno Paulino! Zamordowali pana Rudolfa!“ Chciałam wybiedz, ale zatrzymał mnie siłą; chciałam wyskoczyć oknem — nie pozwolił! Musiałam czekać do następnego dnia. Z pierwszym dnia świtem pobiegłam do Morgi, na cmentarz; wszędzie było mnóstwo trupów, przerażające mnóstwo! Ciebie nie znalazłam. Byłam przekonaną, że nie żyjesz i że wrzucono cię do ogólnego grobu. Wszyscy, do kogokolwiek się zwróciłam, upewniali mnie w tem mniemaniu. A ty nie dałeś znaku życia! Dla czego tego nie uczyniłeś, będąc w szpitalu? Czy straciłeś przytomność?

— Tak, moje biedne dziecko. Tak bardzo cierpiałem, że nie byłem w stanie zebrać myśli. Kiedy czułem się lepiej, rozciągnięto nademną surowy nadzór, gdyż podejrzywano, iż walczyłem na barykadach. Musiałem skomunikować się z ambasadą, która udzieliła informacyi i zaręczyła za mną.

— Jeżeli mogłeś skomunikować się z ambasadą, dla czego nie zgłosiłeś się do mnie?

Nie odrzekł ani słowa.

— A potem wyzdrowiałeś — ciągnęła omdlewającym głosem — i przez tyle, tyle lat nie przyszło ci na myśl zatroszczyć się o mnie...

Opuścił głowę, aby uniknąć jej spojrzenia.

Prawdy nie mógł wyznać, zwłaszcza w tej chwili i w tem miejscu.

Po wyjściu ze szpitala nie powrócił do swego mieszkania, nie napisał do niej ani słowa... Dla czego?

Opanował go wstyd — w tej chwili pogardzał sam sobą.

Dla czego tak postąpił?

Ot, był po prostu szczęśliwy, że mógł się pozbyć Pauliny...

Była to stara, wiecznie powtarzana historya. Jest się młodym, zawiera się znajomość z młodą, ładną szwaczką, samą, bez rodziny. Dziewczyna chętnie rzuca się w ramiona młodego człowieka, które ją doń przykuwają na długo, bardzo długo...

Miłość taka trwa rok, dwa lata, dopóki student nie skończy wykształcenia, wtedy żegnaj uroku miłosnych upojeń, żegnaj pokoiku napełniony młodością i nadzieją! Często następuje rozłąka bez żadnych trudności. On jest zimny, ona — rozsądna.

Oboje obradują po raz ostatni w podmiejskiej restauracyi, piją szampańskie, rozmawiają o projektach na przyszłość, życzą sobie szczęścia i każde idzie swoją drogą.

Albo oboje są sentymentalni. Wtedy płaczą trochę, wzdychają, przyrzekają sobie, że będą pisać i nawet przez pewien czas dotrzymują słowa, ale rana goi się szybko i wkrótce następuje zapomnienie.

Ale często! oh, często...

Gdy Rudolf postanowił opuścić Paryż, spostrzegł z przerażeniem, że węzły łączące go z Pauliną nie były łatwe do zerwania. W ciągu dwóch lat mieszkali razem w jednym pokoiku w pasażu Saumont. W ciągu tych dwóch lat nie wyrządziła mu żadnej przykrości; marzyła o tem tylko, aby był zadowolonym, szczęśliwym. Darzyła go uśmiechem i pocałunkiem, kiedy wychodził do szkoły, darzyła go uśmiechem i pocałunkiem, gdy powracał.

Kiedy pracował, siadała w kąciku i zda-

przypuszczać, że, patryotyczne na ogół duchowieństwo poznańskie, które tak świetnie zapisało imię swoje podczas walki kulturnej, zrzecze się ideałów narodowych i, demoralizujący dając przykład, tworzyć będzie komitety dla stawiania na ziemi polskiej pomników Wilhelmowi I., protektorowi prześladującego kościół polski Bismarcka? A przecież tego rodzaju smutny i oburzający fakt zdarzył się temi dniami w Inowrocławiu!

A za te dowody upodlenia cóż otrzymuje społeczeństwo poznańskie w zamian? Policzek za policzkiem!

I oto, aby uczyć naszych braci pokornego przyjmowania tych policzków, stańczycy tworzą w Poznaniu nową agendę!"

— *ski.*

Partye i pisma polityczne *w Czechach.*

(Dokończenie).

Gdy młodoczescy posłowie występowali z całych sił w obronie przedłożenia w sprawie cukru (wskutek którego cena tegoż poszła w górę o 3 ct. od kila), a Arb. Ztg. z tego właśnie powodu natarła na klub młodoczeski, wówczas pisały Nar. Listy, broniąc swej polityki: „Czescy deputowani nie są reprezentantami jednego stanu, jednej klasy, lecz wszystkich warstw narodu, a więc tak fabrykantów i wielkich przemysłowców, jakoteż rękodzielników, chłopów i robotników, i zastępowali, zastępują i zastępować będą wszystkie warstwy narodu".

Wskutek właśnie tego „narodowego" charakteru partyi młodoczeskiej i jej fałszywego poglądu, że młodoczescy deputowani są reprezentantami „całego narodu", wypływa ta chwiejność, ten brak decyzyi w kwestyach socyalnych. To pociąga za sobą największe niekonsekwencye młodoczeskiej delegacyi na polityczno-społecznem polu i dlatego też od partyi tej odwracają się wszyscy robotnicy i wszyscy stojący na gruncie ludowym. Również chwiejną jest ta polityka względem szlachty. „Dzisiejszemu stanowisku czeskiej polityki we Wiedniu, jakoteż i w domu — pisze „Volkspresse" — musi się raz koniec położyć, i to w jak najkrótszym czasie, jeżeli nie ma runąć to, co jeszcze jest świeże i zdrowe i co do pewnych uprawnia nadziei, aby objęło ster naszych politycznych losów i doprowadziło do szczęśliwszego i lepszego rezultatu, niż partya młodoczeska. Jeżeli ona upadnie bez iskry nadziei zbawienia, to jest obowiązkiem tych, którzy czują się na siłach do pracy, aby zaprzestali bezcelowych usiłowań ratowania tonącego z błota, gdyż sami nie spostrzegą, jak powoli w to błoto wejdą — a raczej, aby myśleli o własnych celach i zadaniach i ku spełnieniu tychże poświęcili całą energię i zapał. Im prędzej spostrzeże się ową bezwładność wielkiej „narodowej" partyi — tem lepiej. Jesteśmy przeciwni owym wielkim partyom „narodowym", które najrozmaitsze i najsprzeczniejsze cele usiłują zamknąć w jakąś jedność niemożliwą. Gdybyśmy w ostatnich 30 latach mieli więcej małych partyi, któreby więcej były liczyły na inteligencyę niż na ilość zwolenników, to bezsprzecznie byłyby lepsze rezultaty: małe te bowiem partye byłyby niezawodnie tworzyły czystszą i bardziej jednorodną krystalizacyę myśli i zasad politycznych i byłyby głębiej naród nasz zorganizowały".

„Rozhledy" wraz ze swymi zwolennikami zachowują więcej zimnej krwi i wyrozumiałości względem realistów i socyalnych demokratów, jakkolwiek właśnie w ostatnich czasach użyły ostrzejszego tonu przeciw realistom, wskutek całkiem niepotrzebnego sporu, jaki między obiema partyami wybuchł... Spór ten w chwili właśnie, kiedy potrzebną jest konsolidacya sił przeciw młodoczechom i klerykałom wre na niekorzyść postępu a ku korzyści reakcyi.

Robotnicy w znacznej części grawitują ku socyalnej-demokracyi. Mała cząstka należy do obozu klerykalnego i wydaje w Pradze „Delnickie Listy" a w Bernie „Delnik" i „Obecne Noviny" (tygodniki) dla „chrześciańskich" robotników. Część robotników należy także do obozu niezawisłych i socyalistów i anarchistów. Dawniej przed 5—10 laty istniała mała frakcya socyalistów-narodowców, która jednak wkrótce znikła. Pod wpływem realizmu i postępowych idei wytworzyła wyżej wspomniana partya postępowych (niezawisłych) socyalistów, która wprawdzie mniej liczy zwolenników, ale natomiast pod niejednym względem odznacza się bardziej postępowemi poglądami od socyalnej demokracyi. I tu objawia się usiłowanie dojścia do nowej syntezy. Obok tego zaznaczyć wypada, że czeska socyalna demokracya jest bardziej wolnomyślnie usposobioną, dostępniejszą dla nowych idei i bardziej skłonniejszą do wciągania do swego programu tych nowych idei, aniżeli wiedeńska, w której tkwi jeszcze wiele skostniałego centralizmu i liberalizmu.

Co do reformy wyborczej (badeniowskiej), to stanowisko socyalnej-demokracyi znane. Realiści i postępowcy występowali również ostro przeciw przyjęciu przedłożenia przez klub młodoczeski, nazywali stanowisko młodoczechów w kwestyi wyborczej „samobójstwem" a taktykę ich „niemoralnym" oportunizmem. Reforma badeniowska nie ma na celu sprawiedliwość, ale tylko pozbycie się naporu konieczności.

LITERATURA I SZTUKA.

Niedyskrecya literacka.

(George Sand i dr. Pagello).

Od jakiegoś czasu cała prasa francuska zajmuje się sprawą dawno przebrzmiałą, bo stosunkiem miłosnym George Sand z Alfredem de Musset. „Les amants de Venise", jak oznaczać się ich zwykło, ponieważ przez

---

leka nań spoglądała: w chwilach wolnych od zajęć obsypywała go pieszczotami.

Kiedy wychodził sam, była niespokojną, ale nie narzekała, o nic się nie pytała; postępowanie takie obowiązuje, więc rzadko bez niej wychodził.

Kiedy zamierzał złożyć jej podarunek — walczyła długo.

W ciągu dwóch lat nigdy nie zauważył ani jednego kaprysu... I ten stosunek, tak pełny przywiązania, tak wierny, — chciał, musiał zerwać...

Nie mógł żenić się, mając dwadzieścia trzy lata! To byłoby szaleństwem!

Żenić się z dziewczyną, którą się spotkało wypadkowo na ulicy Montmartre! Była to myśl niedorzeczna... nie warto nawet zastanawiać się nad tem.

Kiedy oświadczył, że muszą się rozstać — twarz jej była przerażająco bladą. Szlochając, porwała go w swoje ramiona, obsypała pocałunkami...

— Nie! nie rzucaj! — zawołała — Nie mogę... wolę umrzeć!...

Wszystkie perswazye były daremne.

— Co możesz mi zarzucić? — pytała.

Nie miał odpowiedzi, gdyż nie mógł uczynić jej najmniejszego zarzutu.

Była biedną, ale tego nie mógł jej wytknąć bez rumieńca wstydu; nie była wykształconą, ale ten brak nauki zastępował wrodzony spryt.

Żądała motywów zerwania.

— Ależ moje drogie dziecko, powinnaś rozumieć, że musimy się rozstać! — to jedno mógł tylko odpowiedzieć.

Nierozumiała, płakała, wołając głosem pełnym rozpaczy:

— Rudolfie, Rudolfie nie porzucaj mnie! Wszak widzisz, że cię kocham, a to przecież coś znaczy. Nic nie chcę od ciebie, pragnę tylko być zawsze przy tobie! Nikt nigdy, jak ja, kochać cię nie będzie!

Sceny podobne powtarzały się prawie codziennie i Rudolf nie miał siły zdobyć się na krok stanowczy. Kiedy nie mógł już patrzeć na łzy Pauliny, wybiegał na ulicę i godzinami błądził bez celu. Tak się też stało d. 5 grudnia...

Kulę uważał za wybawicielkę. Odzyskawszy siły, uciekł z Paryża. Sumienie jego było dość spokojne. Sądził, że nic nie jest winien Paulinie, że ona go nie potrzebuje, że ze swojem usposobieniem, obdarzona naturą wyższą, nie zginie w odmęcie paryskim, że pójdzie swoją drogą. Ale głos wewnętrzny wołał bardzo często:

— Podły! podły!

Wzruszał wtedy ramionami, pocieszając się, że każdy na jego miejscu postąpiłby w ten sposób, że Paulina prędko się pocieszy.

Tego wszystkiego nie mógł jej wyznać w tej chwili, ale ona rozumiała.

— Rozumiem, rozumiem Rudolfie — rzekła, smutno się uśmiechając — byłeś zadowolony, pozbawiając się kłopotu. Kula oszczędziła ci widoku moich łez.

Mogła wiele mówić, ale wszak nigdy nie czyniła mu wyrzutów; pocóż miała go niemi obrzucać tu nad tym grobem?

Uchwycił jej rękę i chcąc nadać inny kierunek rozmowie zapytał:

— Co porabiasz teraz?

— Dziękuję, że pytasz o to.

W odpowiedzi nie było cienia ironii, ale wdzięczność.

— Ciężko pracowałam, jestem niezależną, posiadam majątek.

Jak gdyby czytając w jego duszy, ciągnęła dalej.

Pozostałam ci wierną, Rudolfie, byłam zawsze wierną. Miałam konkurentów, ale nie przyjęłam żadnego. W sercu mojem pragnęłam przechować wspomnienie o tobie. To cię dziwi? Nie wierzysz? Tak, to nieprawdopodobne! Tak... nadskakuje się młodej dziewczynie... a potem? Potem, kiedy się znudzi, rzuca się... ale jeżeli dziewczyna jest szaloną i szczerze pokocha... oh... wtedy nie ma dla niej pociechy.

Teraz mówiła z goryczą, wargi jej drżały, przetarła oczy, tłumiąc łkanie. Nagle wyjęła z kieszeni skórzany pugilaresik i podała go kochankowi.

W jednym z przedziałów znalazł swoją fotografią. Otworzyła medalyon, spoczywający na piersiach i ujrzał swoje włosy; był to podarunek od niego.

Nie mógł opanować wzruszenia, stłumić uczucia rozsadzającego serce. Nie zwracając uwagi na przechodniów, porwał ją w objęcia.

czas pewien mieszkali i kochali się w Wenecyi (w r. 1832) rozstali się w temże mieście z powodu młodego, pięknego włocha, doktora Pagello, który zdobył względy niestałej kochanki poety. Miłość swą, dramatyczne sceny jakich była powodem, wypowiedział przed publicznością Alfred de Musset i wypowiedziała jeszcze szczegółowiej George Sand. Książki ich o tem mówiące, aż do zbytku są znane i czytane przez trzecie już pokolenie. Z książek zaś, które napisali przeróżni autorowie przeróżnych narodowości o „nieśmiertelnych kochankach“ możnaby ułożyć całą bibliotekę, która, jak się okazuje, jeszcze jest w trakcie zwiększania swej liczby tomów, bo oto kwestya czy George Sand zdradziła Alfreda de Musset w Wenecyi podczas jego choroby, czy też dopiero rozstawszy się z nim i wyprawiwszy go do Paryża, jest obecnie na porządku dziennym. Okazało się, że doktór Pagello jeszcze jest przy życiu, zatem dla wyjaśnienia sprawy, udano się wprost do niego, do Włoch. Pagello ma obecnie lat przeszło dziewięćdziesiąt, jest głuchy i bynajmniej nie przypomina zachwycającej piękności włocha, do którego George Sand pisywała płomienne listy, które w całości lub w urywkach drukują się obecnie we wszystkich naraz pismach francuskich. Stary, głuchy Pagello oddał te listy odwiedzającym go dziennikarzom, zatrzymując, jak się wyraził, „najmiłośniejsze“, które powierzył swej rodzinie. O swym stosunku z genialną francuską wyraził się obojętnie, jak o ulotnej miłostce i, o prozo! najżywsze wspomnienie pozostało mu o kulinarnych zdolnościach George Sand. Z nagłem ożywieniem zapewnił: „Lubiła zajmować się kuchnią i wyborne przyprawiała sosy!“ Dzięki niedyskrecyi d-ra Pagello, oddającego miłosne listy na łup ciekawości publicznej; wiemy dziś, bardzo dokładnie wiemy, że George Sand kochała go czas jakiś. „Je t'aime, parce que tu me plais; peut-être bientôt te hairai je“. Do nienawiści nie doszło, lecz pomimo, że Pagello przybył za nią do Paryża, gdy sprzykrzywszy go porzuciła Włochy, stosunek się ich rozerwał, i wkrótce potem George Sand wyjechała na wyspy Balearskie w towarzystwie Fryderyka Chopina. Z tej fazy jej życia pochodzi książka: „Un hiver à Majorque“.

Prasa francuska, zdobywszy listy d-ra Pagello, zapragnęła posiąść listy z tejże epoki Georges Sand i Alfonsa de Musset. Część tej korespondencyi ukazała się już poprzednio, więc obecnie drukują się ponownie te miłosne dokumenty, zaś listy niedrukowane i będące w posiadaniu rodziny Alfonsa de Musset, oraz dzieci George Sand, niezostały wydane prasie, pomimo natarczywych zabiegów.

O ile życie George Sand było burzliwe, namiętne aż do późnej jesieni, o tyle łagodnie, spokojnie przeżyła swą zimę, osiadłszy na starość na wsi w Nohant, gdzie otoczona kochającemi ją dziećmi i wnukami, przyjmowała z serdeczną gościnnością najznakomitszych współczesnych literatów i artystów. Cześć, jaką zachowali dla wysoce dobrej i niepospolicie inteligentnej kobiety, streszcza się w przydomku, jaki jej nadał Gustaw Flaubert, przydomku ściśle złączonego z pamięcią o George Sand: „Notre bonne dame de Nohant[1]“.

Przy tej sposobności niech nam wolno będzie wyrzec słówko o całej tej sprawie. Uważamy ją za ohydną, za rażący dowód upadku dziennikarstwa francuskiego. Jakiś włoski doktór, o którego marnem istnieniu i upodobaniu do sosów, dowiadujemy się z tej korespondencyi, cieszył się przez czas pewien względami wielkiej autorki, ale zarazem zmysłowej i namiętnej kobiety, która gdy minął okres burzliwy, stokrotnie dobrocią i szlachetnością spłaciła swe uniesienia lub kaprysy. Czyż godziło się wywłóczyć na światło dzienne tę historyę? Mówimy to nie przez pruderyę lub hipokryzyę, ale ze względu na pojęcie o przyzwoitości i literaturze. Gdyby rzecz szła o genialnego autora-mężczyznę, czyby mu liczono dziewczęta, jakie mógł posiadać w dniach płochej młodości? Dla czegóż ta miara podwójna dla wyjątkowo genialnej kobiety? Czyż jej druga epoka życia, jej literackie utwory nieokupiły prywatnego, do rodziny należącego życia? Cóż przyjdzie literaturze z tych odkryć, co one objaśnią w utworach George Sand? A tylko pod tym warunkiem i to dyskretną ręką, wolno zdejmować pieczęć z prywatnego życia znakomitych autorów! Ale pismakom paryskim szło o skandal i zrobili skandal...

[1]) W roku 1894 odsłonięty został w Nohant pomnik, wyobrażający postać George Sand. Na uroczystość tę zjechało do Nohant całe grono przedstawicieli inteligencyi francuskiej, oraz zebrał się licznie lud z całej okolicy. George Sand bowiem była przez całe życie ubóstwianą przez lud roboczy wiejski i miejski. Kwestye społeczne zawsze ją żywo zajmowały. A gdy Ludwik Bonaparte wydał słynną swą broszurę: „De l'extinction du pauperisme“, napisaną podczas swego uwięzienia w Ham, George Sand, rozentuzyazmowana, zaczęła z nim korespondować, a następnie bywała u niego w Elisée, gdy był prezydentem Rzeczypospolitej.

Z najnowszych powieści.

(***Hr. Łoś.*** *Odrębna istota. Lwów. 1896.*)

Niedawno mówiłem na tem miejscu o powszechnem u nas zaniedbaniu stylu; nadarza się właśnie sposobność okazania tego przykładowo na jednej z najnowszych powieści, napisanej przez młodego, a wielce płodnego autora, Wincentego hr. Łosia.

Hrabia Łoś w przeciągu mniej więcej lat 10-ciu wydrukował dwadzieścia tomów, nie licząc w to opowiadań, które w formie książkowej dotychczas się jeszcze nie pojawiły. Jest widocznie czytany, kiedy utwory jego znajdują nabywców nietylko dla zapełnienia feljetonów, lecz i dla sprzedaży w księgarniach. Są nawet tacy, którzy utrzymują, iż hr. Łoś należy do powieściopisarzów bardzo poczytnych, ponieważ umie rozsnuć zajmującą intrygę i na wzór autorów francuzkich, nie lęka się malowania scen dramatycznych.

Bądźcobądź, niepodobna zaprzeczyć 2-ch okoliczności: że hr. Łoś może i umie pisać dużo i że w pomysłach swoich, sposobie prowadzenia rzeczy i w stylu idzie torem powieściopisarstwa francuzkiego. Jak wygląda owo pisanie i jakie wyniki daje naśladownictwo, to właśnie rzecz, o której chcę parę słów powiedzieć.

Weźmy pod uwagę maleńki ustęp z najświeższego utworu hr. Łosia: „Odrębna istota“ (Lwów, nakład Gubrynowicza i Schmidta, 1896, str. 377). Autor opisuje podróż narzeczonych poślubną na jachcie prującym fale morza Śródziemnego.

„Było im dobrze na *tym* pokładzie statku, *przezwanym* Fellicita, a *który* prócz ich dwojga, unosił panią Duclos i kapitana La Scalla, *młodzieńca wieku Edwarda*, jego przyjaciela, *który* też podróżował po Atlantyku *razem z nim* i panną Delille“ (str. 153).

Gdyby ktoś umyślnie, dla przestrogi uczniów, wysilił się na ułożenie zdania źle zbudowanego, pod względem gramatycznym i stylistycznym niepoprawnego, nie mógłby się lepiej z zadania swego wywiązać, jak hr. Łoś, pisząc ustęp powyższy.

Bo najprzód na co tu zaimek t e n z francuzka użyty zupełnie bezpotrzebnie, gdyż my nim się w takich wypadkach posługujemy wówczas tylko, gdy mu w zdaniu następnem odpowiada zaimek k t ó r y. Trochę to czuł autor; odniósł bowiem, zresztą najniefortunniej, imiesłów p r z e z w a n y m — który przezwano — do owego zaimka ten: ale się wplątał w nielogiczne powiązanie pojęć; nie pokład bowiem lecz sam statek nosił miano Fellicita.

A dalej... jakież to zręczne złączenie zdań przez a k t ó r y! Ponieważ były poprzednio dwa rzeczowniki rodzaju męzkiego: p o k ł a d i s t a t e k, nie wiadomo więc gramatycznie, do którego z nich ten: a k t ó r y się odnosi; pod względem treści jestto zapewne wszystko jedno, ale pod względem poprawności — błąd elementarny, który w ćwiczeniach szkolnych zasłużyłby na surowe skarcenie. Gdy jeszcze zważymy, że w tym samym ustępie znajduje się zaimek k t ó r y odniesiony do zupełnie innego rzeczownika (przyjaciela), to niedbalstwo stylowe uwydatni się tak jaskrawo, iż zbytecznem się wydaje wszelkie kładzenie nacisku w tej mierze.

Nie dosyć jednak i na tem. W tymże ustępie znajdujemy również niemiłe wykroczenie przeciwko najprostszym zasadom stylistyki w zabawnem nagromadzeniu czwartych i drugich przypadków, nie różniących się od siebie końcówkami; m ł o d z i e ń c a w i e k u E d w a r d a, j e g o p r z y j a c i e l a...

A nie myślcie, czytelnicy, żebym umyślnie wybierał ustęp, grzeszący tak potwornemi błędami; natrafiłem nań odrazu przy losowem otwarciu książki. Podobnych ustępów jest pełno w całej „Odrębnej istocie.“

I takie wyroby stylu idą do druku, nie zwracają nawet uwagi redakcyi, która „Odrębną istotę“ w piśmie swojem pomieściła, zanim utwór ukazał się w formie książkowej! Jakże ogół nie ma się znieczulić na czystość i poprawność języka, na piękno wysłowienia, jeżeli widzi takie łachmany stylowe w dziejach autorów, którzy przez szereg lat piszą do druku; jeżeli spostrzega, że redakcye, które z zasady stać powinny

---

— Czy wierzysz mi teraz? — zawołała, wyrywając się z uścisku.

Zamiast odpowiedzi uchwycił jej rękę i zbliżył do ust.

Ona uczyniła to samo.

W chwili, kiedy wyrywał rękę, zauważyła na jednym z palców obrączkę ślubną.

Wydała stłumiony okrzyk, przymknęła oczy, zachwiała się. Padła na kolana w to miejsce, z którego powstała niedawno i za chwilę usta jej szeptały modlitwę.

— Paulino! — zawołał błagalnym głosem.

Lekko wstrząsnęła głową, jakgdyby pragnęła odegnać dręczący ją obraz.

— Paulino daj mi swój adres, ja nie mogę rozstać się z tobą w ten sposób!

Zasłoniła rękoma twarz, nie odrzekła ani słowa.

Zbliżył się i położył rękę na jej ramieniu. Zadrżała, jakgdyby dreszczem wstrząśnięta.

Zrozumiał.

Zabrzmiał dzwon na zamknięcie cmentarza. Raz jeszcze spojrzał na klęczącą kobietę i wolno, cicho jak cień, oddalił się od grobu. Zbliżywszy się do bramy, raz jeszcze spojrzał po za siebie.

Powietrze napełniała mgła, zacierając kontury przechodniów.

Owinięta w ten woal Paulina, ginęła gdzieś w dalekiej przestrzeni.

Rudolf uczuł, że ostatnie ślady jego miłości, a z nią marzeń i snów złotych, topnieją w mgle jesiennej.

Maks Nordau.

na straży mowy ojczystej, tak lekceważąco obowiązki swe spełniają.

Położenie końca temu zachwaszczaniu niwy pisarskiej nie jest oczywiście w mocy jednostek, ale ostrzeganie przed takiem niechlujstwem stanowić winno obowiązek każdego, co ma poczucie ducha języka i formy artystycznej.

Wzorowanie się hr. Łosia na pisarzach francuzkich zatarło w jego sposobie wyrażania się cechy swojskości niemal zupełnie; frazesy jego wyglądają najczęściej jako niedbałe tłomaczenia z francuzkiego i niemieckiego, w których wyrazy wprawdzie są polskie, lecz sposób ich użycia i połączenia jest zupełnie cudzoziemski. Czyż może być coś dziwaczniejszego pod względem językowym jak zdanie następne; „W i e l k i e jest mieć wolę, ale w i ę k s z e m jeszcze uznawać inną.“ („Odrębna istota“, str. 22). Tak może myśl swą sformułować cudzoziemiec, który się słów polskich nauczył, albo też też zcudzoziemczały polak.

Mało co lepiej jest z treścią utworów hr. Łosia. W licznych jego obrazkach i powieściach znajdują się oczywiście dowody trafnej obserwacyi życia spółczesnego lub niedawno ubiegłego, ale w ostatnich mianowicie czasach zaczął pomysły swoje czerpać z fantazyi zapłodnionej przez beletrystykę francuzką. Jego hrabiowie, literaci i artyści żyją w jakimś kraju wymarzonym, a ich charaktery, upodobania i zachcianki, ich bajeczne bogactwa, sposób postępowania, są tak dowolne, jak kojarzenie się wyobrażeń puszczone samopas, nie kierowane myślą świadomie zmierzającą do pewnego celu. Takich panów, coby mogli obstalowywać zegarki wartości miliona franków, na prezent dla zięcia, u nas chyba nie ma, a wątpić wolno, czy w rzeczywistości ktokolwiek zegarek podobny posiada, jeżeli fanfaronadę w wywnętrzeniach i przechwałkach nie będziemy brali za dobrą monetę.

Hr. Łoś nie określa cyfrowo majątku swego fikcyjnego bogacza, ale półsłówkami stara się wzbudzić w czytelniku przekonanie, że jego kapitały trzeba mierzyć stopą miliardów amerykańskich.

W ogóle usiłuje autor nadać postaciom przez siebie stworzonym nadzwyczajnej głębokości myśli i niesłychanej oryginalności, zarówno w myślach jak i w sposobie zachowania się. Używa ku temu bardzo prostego, lecz w zastósowaniu bardzo zdradliwego środka: oto sam od siebie upewnia, że ten lub ów jest mędrcem nad mędrce, albo też naturą niezmiernie subtelną i niesłychanie skomplikowaną.

Niestety, dawno już minęły czasy, kiedy się w naiwności ducha wierzyło takim zapewnieniom autorskim. Dzisiaj szukamy dowodów na wszelkie twierdzenia. A jeśli tą metodą rozstrząsnąć zechcemy pomysły hr. Łosia i ich wcielenie w formę artystyczną, to bez trudu dojrzymy otchłań, oddzielającą jedno od drugiego.

Ci jego głębocy myśliciele okażą się istotnie łamiącymi sobie głowę nad rozwiązaniem zawiłej a strasznej zagadki: ile jest dwa razy dwa. Podobni są oni do ludzi, którzyby idąc po asfaltowanym chodniku, zachowywali ostrożność akrobaty, kroczącego po linie nad wodospadem Niagary.

Jego odrębne istoty to bardzo zwyczajne histeryczki, zmieniające upodobania pod wpływem chwilowych podrażnień, dość inteligentne, by robić nad sobą studya, jako nad czemś zjawiskowem, ale nie dosyć rozumne, by w tych studyach osiągnąć jakieś poważne wyniki, któreby nietylko im samym, lecz i postronnym przynieść mogły umysłowe przynajmniej zadowolenie.

Zniechęcenia, zwątpienia, rozpacze, malowane przez hr. Łosia są tak sztuczne a tak chłodne, że chyba nikomu na chwilę nawet nie mogą dać złudzenia szczerości i prawdy, nikogo wzruszyć, wstrząsnąć nie zdołają.

Co mu się, względnie oczywiście, najlepiej udaje — to przedstawienie upojeń zmysłowych.

Hr. Łosiowi nie można zrobić zarzutu, iżby bezmyślnym był pisarzem, ale wolno zaznaczyć w nim skłonność do przeceniania własnych pomysłów, do zbyt natarczywego wmawiania w swych czytelników, iż im podaje coś prawdziwie fenomenalnego.

Paradoks taki, który jest osią myślową całej „Odrębnej“, iż w każdem późniejszem uczuciu kochamy osoby, przypominające pod jakimbądź względem pierwsze nasze ukochanie, ma w sobie niewątpliwie jakąś cząstkę prawdy; może się nawet stać tematem do studyum powieściowo psychologicznego, jednakże pod warunkiem, by autor świadom był względnego jeno znaczenia swej tezy. Hr. Łoś takiej miary ani pod względem samej treści, ani pod względem obrobienia artystycznego nie umiał zachować; rozwałkował temat bardzo szeroko, nie umiejąc go pogłębić, ani urozmaicić dobrze obmyślonemi sytuacyami.

Na „Odrębnej istocie“ sprawdził się aforyzm Krasickiego: „Gdzie dużo przygotowań, tam nic z dyalogu.

P. Chmielowski.

BADANIA NAUKOWE.

Z literatury naukowej.

(*Dr. Adam Wizel., „Wiek nerwowy w świetle krytyki“. Warszawa. Nakładem księgarni G. Centnerszwera 1896.*)

Przed kilku laty dr. H. Nussbaum ogłosił w jednem z czasopism artykuł p. t. Nasz wiek nerwowy“, gdzie, stając w obronie XIX stulecia, przyszedł do wniosku, że czasy dzisiejsze są mniej nerwowe, niż dawne. „Nietylko niedowiedzionym, — mówi on tam, — ale nawet prawdopodobnym nie jest wniosek, że w wieku XIX liczniejsze i cięższe są cierpienia układu nerwowego, — owszem wszystko przemawia za tem, że chorób tych jest dzisiaj mniej.“

Dr. Adam Wizel w świeżo wydanem studyum p. t. „Wiek nerwowy w świetle krytyki“ zajął wprawdzie stanowisko pokrewne, lecz w twierdzeniach swoich nie posunął się tak daleko. Nie próbuje on nawet rozstrzygnąć akademickiej poniekąd kwestyi, które czasy uważać należy za bardziej nerwowe, dawne czy dzisiejsze, gdyż zdaniem jego, jest to problemat całkiem nierozwiązalny. Nie dająca się bliżej określić natura wielkości, z któremi tutaj mamy do czynienia i brak dokładnych danych z epok dawniejszych — czynią niemożliwem dokładne porównanie pod powyższym względem stulecia bieżącego z długim szeregiem poprzednich. Nie o to też autorowi chodziło.

Wiek nasz, jeżeli wierzyć powagom takim, jak Krafft-Ebing, Cullère, Kornig, Deschamps, Nordau i wielu innym, dotknięty został wyjątkową plagą nerwowości, szerzącą spustoszenie wśród społeczeństw dzisiejszych, niweczącą wszystkie niemal dobrodziejstwa cywilizacyi i ostatecznie sprowadzającą do zera najwspanialsze zdobycze kulturalne. „Na świetny obraz kultury — mówi prof. Krafft-Ebing — jaki możnaby narysować w wyobraźni i jakiego należałoby oczekiwać w rzeczywistości, pada ponury cień... Robakiem, który toczy owoc życia cywilizowanego, zatruwa naszą energię życiową i pozbawia nas szczęścia na ziemi, jest t. zw. nerwowość.“ W podobny sposób Deschamps przychodzi do wniosku, że newroza, jak królowa, panuje nad naszą epoką, a Nordau w głośnem dziele p. t. „Zwyrodnienie“ woła rozpaczliwie, że ludzkość przechodzi obecnie ciężką epidemię intelektualną, rodzaj czarnej zarazy histeryi i zwyrodnienia, i pełen obawy, zapytuje, co będzie dalej.

Nie dosyć na tem. Idee powyższe z wyżyn profesorskich katedr, z gabinetów i dzieł uczonych przedostały się szybko pod pióra beletrystów, na szpalty pism peryodycznych i ztąd rozpłynęły się już falą szeroką wśród inteligentnych sfer społeczeństwa, które wierzą niezłomnie, że ludzkość przeżywa w obecnej dobie chwile groźnej epidemii nerwowej, mogącej z czasem doprowadzić ród ludzki do kompletnej zagłady. Wyraz „fin de siecle“ nie schodzi z ust tysięcy ludzi, a świat teraźniejszy w pojęciu ogółu nie jest niczem innem, jak tylko wielkim szpitalem dla obłąkanych.

„Wszystkich nas — mówi nie bez pewnej przesady dr. Wizel, — prześladuje widmo strasznej i nieubłaganej newrozy. Wylęknionej naszej fantazyi przedstawiają się najposępniejsze obrazy. Oto zdaje nam się, że żyjemy w czasach okropnej epidemii, — stokroć gorszej, niż dżuma lub cholera. W bezgranicznej rozpaczy miotamy przekleństwa na cywilazacyę, na postęp, na oświatę. Co nam po cywilizacyi, po jej dobrodziejstwach, skoro ona właśnie zrodziła newrozę?

Przeciw takim właśnie krańcowo-pesymistycznym poglądom, wygłaszanym zarówno przez uczonych, jak i przez niepowołanych profanów, występuje autor „Wieku nerwowego.“ Pragnie on dowieść przedewszystkiem, że wiek dzisiejszy nie jest jakimś specyalnym wiekiem nerwowości, a tem samem klęsce, o której się mówi powszechnie, odjąć część przynajmniej osławionej grozy. „Jedyny wniosek — mówi dr. Wizel — do jakiego upoważnia nas bezstronna analiza faktów, jest tylko ten, że nerwowość jest dziś duża, — żadną miarą wszakże niepodobna dowieść, aby była dziś większa niż dawniej.“ Prawda, że dziś denerwująco działają na ludzkość warunki bytu, dawnej kulturze całkowicie obce, ale za to dawniej denerwujący wpływ wywierały na ludzkość czynniki, które dzisiaj nie grają w życiu najmniejszej roli. Przyznając, że neurastenia jest dzisiaj o wiele częstszem cierpieniem, niż w wiekach średnich, lub w starożytności, słusznie zwraca uwagę na wiele innych nerwic, które obecnie stały się bez porównania rzadszemi i łagodniejszemi niż były dawniej, — i wbrew rozpowszechnionemu poglądowi, twierdzi np. stanowczo, że właściwym okresem panowania wśród ludzkości newrozy histerycznej nie są bynajmniej czasy dzisiejsze, lecz były nim wieki ubiegłe, wieki ciemnoty i zabobonnych wierzeń.

Nie poprzestając na wygłoszeniu poglądów powyższych, potwierdza je autor całym szeregiem faktów, zaczerpniętych przeważnie z patologicznej kroniki społeczeństwa ludzkiego, sięgającej czasów najbardziej zamierzchłej przeszłości. W studyum swojem zastanawia się głównie nad różnorodnemi objawami nerwowości w czasach przeszłych, nad częstością i potęgą dawnych newroz i psychoz, nad przyczynami wreszcie, które wywoływały olbrzymią w samej rzeczy nerwowość w ubiegłych stuleciach, a z drugiej strony stara się zbadać genezę pesymistycznych poglądów dzisiejszych. Rzut oka na przeszłość stanowi zakończenie zajmującej ze wszech miar książki.

Nie mogąc w tych ciekawych poszukiwaniach iść krok w krok za autorem, poprzestaniemy na wskazaniu czytelnikom punktów wytycznych jego pracy i na zaznaczeniu faktów najwybitniejszych.

Przedewszystkiem więc, pomijając legendy i podania o obłąkanych i opętanych u Żydów, starożytnych Egipcyan i w mitologii greckiej, zauważyć należy, że już w dziełach Hippokratesa, który pierwszy wyraził pogląd, iż psychozy i newrozy wynikają z zakłócenia działalności mózgu, znajdują się liczne opisy chorób umysłowych i nerwowych, jakoto: histeryi, epilepsyi i nawet neurastenii, mającej wrzekomo stanowić wyłączny przywilej czasów dzisiejszych. Niczem jednak jest nerwowość starożytności klasycznej w porównaniu z nerwowością epoki, która bezpośrednio po niej nastąpiła. „Z wyżyn współczesnej neuropatologii, — mówi dr. Wizel, — padł olbrzymi snop światła, który nam oświecił tajemniczy świat średniowiecznych czasów, cudów i zabobonów“. Niewesoło świat ten wygląda. Z dawnych mistyków, proroków, ekstatyków, czarodziejów i opętanych analiza naukowa zdjęła piętno nadprzyrodzoności i ukazała nam ich rzeczywiste oblicze. W natchnionych wizyach odkryła halucynacye, w wyznaniach opętanych — chorobliwe bredzenie, w napadach ekstazy — ataki histeryczne, w dziwacznych pląsach — objawy newrozy. Analizując krytycznie i badając w świetle dzisiejszych pojęć owe tajemnicze zjawiska, których opis znajdujemy w literaturze średniowiecznej, a uplastycznienie we freskach, rzeźbach i obrazach średniowiecznych, uczeni uznali je za przejawy pewnych cierpień nerwowych i umysłowych. Zasługa tych odkryć należy do kilku znakomitych badaczy, jakoto: Calmeil, Littré, Valentiner, Charcot i Richter, Regnard i inni, którzy sąd swój opierali na dwojakiego rodzaju źródłach: literackich i artystycznych. Idea badania dzieł artystycznych celem dowiedzenia dawności chorób nerwowych zrodziła się po raz pierwszy w genialnym umyśle Charco'ta, który razem z uczniem swoim, Pawłem Richer, ogłosił w r. 1887 znakomitą pracę naukowo-artystyczną p. t. „L e s d é m o n i a q u e s d a n s l'a r t“.

Uczucie zgrozy ogarnia czytelnika, dowiadującego się strasznych szczegółów, dotyczących epidemicznych zaburzeń nerwowych, które srożyły się przez długi ciąg wieków średnich w całej niemal Europie ówczesnej. W porównaniu z owemi pląsawicami masowemi, demonolatryami, demonopatyami, teomaniami, konwulsyonizmami, wampiryzmami etc., etc., których opisem przepełnione są kroniki współczesne, maleją dziwnie cierpienia dzisiejszych histeryczek i schyłkowców. A jednak wszystkie wymienione epidemie, jak stwierdziły badania najnowsze, niebyły niczem innem, tylko objawami tak zwanej wielkiej histeryi, której źródło ukrywało się naturalnie w warunkach ówczesnego bytu i w życiu psychicznem jednostek i tłumów. Nad ciemną i zabobonną ludzkością zapanował wszechwładnie demon. Szatan wędrował nieustannie po świecie i werbował dla siebie ofiary. Nikt nie był pewien jutra, bo duch ciemności mógł się zjawić lada chwila i na zawsze pochwycić w swoje szpony duszę nieszczęsnego człowieka. Wobec tego ogólna panika, ogólna obawa siły nieczystej stała się w życiu narodów zjawiskiem najpowszechniejszem. Jeżeli dzisiaj halucynacye prześladowcze chorych obracają się przeważnie około takich przedmiotów, jak policyanci, anarchiści, prądy elektryczne itp„ to wówczas najczęstszą ze wszystkich musiała być halucynacya szatana. „Współczesna histeryczka — mówi Regnard — widzi również demona, lecz demon zmienił nazwę: chore z Salpêtriere nie są to zakonnice, lecz najzwyklejsze mieszczki, a demon ich to nie Begandt, ani Asmodeusz, lecz postępuje z biegiem czasu i dwa razy, o ile mi wiadomo, nosił imię Alfonsa“. Wówczas chorzy opowiadali plastycznie o stosunkach swoich ze złymi duchami i dla oczyszczenia dusz, grzechem takim skalanych, szli tysiącami na stosy.

Aby dać pojęcie o środkach, jakiemi w wiekach średnich zwalczano choroby psychiczne dość przypomnieć, że podczas strasznej epidemii demonolatryi, która grasowała w Lombardyi od roku 1504—1523, skazano na śmierć w c i ą g u j e d n e g o r o k u około tysiąca chorych. A w r. 1589, podczas podobnej epidemii w Quedlinburg, spalono j e d n e g o d n i a 133 „czarownic“. Stos i tortura były powszechnem lekarstwem na cierpienia duszy. To też słusznie utrzymuje Régnard, iż pogląd demonologiczny na istotę newrozy i obłędu spowodował dla ludzkości równie fatalne następstwa, jak najstraszniejsza broń palna i najokropniejsze wojny.

Nerwowość nie jest wcale wyłącznem cierpieniem inteligentnej klasy społecznej. „Faktem jest najoczywistszym — mówi Charcot w swoich L e ç o n s d u m a r d i à l a S a l p ê t r i è r e — że te same cierpienia panują na wielką skalę wśród proletaryatu, wśród biednych rzemieślników, wśród tych, którzy nie znają nic, prócz pracy fizycznej“. Słusznie więc zauważył dr. Wizel, że, jeżeli wśród warstw najniższych, warstw, doznających na sobie w słabym stopniu wpływów kultury dzisiejszej, spotyka się, i to nader często, te same absolutnie cierpienia nerwowe, co i w sferach, biorących czynny udział w „gorączkowem i nerwowem“ życiu czasów dzisiejszych, w takim razie nie mamy najmniejszego prawa winić kultury, iż ona to nerwowość wywołała. „Powolne działanie przeciążenia umysłowego — mówi Charcot — oraz gwałtowny wpływ nagłego wstrząśnienia psychicznego, jakkolwiek są to powody zupełnie odmienne, niemniej jednak mogą doprowadzić do jednego. i tego samego rezultatu“. W słowach powyższych mamy również rozwiązanie zagadki, jakie czynniki wytworzyły tak rozpowszechnione w wiekach średnich cierpienia psychiczno-nerwowe. Niedola, oraz związanie z nią wzruszenia moralne, — oto najistotniejsze źródło dawnych newroz i psychoz, a głód, mór, wojny, pożogi, samowola klas uprzywilejowanych i ucisk nędzarzy stanowiły najważniejsze przyczyny niedoli.

Ciekawy jest wreszcie pogląd dr. Wizla na powody, które wywołały fałszywą, zdaniem jego, wiarę w wyjątkową nerwowość naszego wieku. Jest ona z jednej strony wynikiem olbrzymich postępów nauk wogóle, a zwłaszcza medycyny i w szczególności psychiatryi i neuropatologii w ciągu drugiej połowy bieżącego stulecia, a z drugiej — wpływu chorobliwych utworów beletrystycznych na masy. „Skutkiem nowych poglądów w psychiatryi — czytamy na str. 144 — medycyna ujrzała się nagle wobec bezmiernej ilości osób chorych umysłowo, przyczem jednak zapomniano, iż to tłumne ukazanie się osobników psychopatycznych nie jest bynajmniej wyrazem rzeczywistego wzrostu psychopatyi, lecz zmienionego punktu widzenia na istotę obłędu. Dawniej, gdy rozstrój psychiczny widziano jedynie w przypadkach wyraźnie zdeklarowanych chorób umysłowych, obłęd wydawał się względnie rzadkiem zjawiskiem; dziś, gdy skutkiem nowoczesnych pojęć, granice obłędu znacznie rozszerzono, medycyna rozpoznaje psychopatyę w niesłychanie wielkiej ilości przypadków“. Tym sposobem liczba psychopatów wzrosła w ciągu bieżącego stulecia, ale tylko nominalnie, faktycznie bowiem zawsze była wielka, może nawet większa, niż obecnie.

Chorobliwe prądy w beletrystyce współczesnej, która bądź to pod wpływem najnowszych wyników nauk psychiatrycznych i neurologicznych, bądź w celu zaciekawienia mas, dla których obłąkany jest zawsze zjawiskiem ciekawem i podniecającem wyobraźnię, czyni chętnie ludzi nienormalnych bohaterami swoich utworów — charakteryzuje prof. Ferrero w rozprawie p. t. S o m m e s n o u s m a l a d e s, zamieszczonej przed paru laty w jednym z paryskich R e v u e s. „Choroba, degeneracya, newroza oto trójca — powiada uczony włoski — która się stała modną we wszystkich utworach beletrystycznych... Rodzina Rougon-Macquarts jest to pomnik, wzniesiony na cześć zwyrodnienia. Dostojewski stworzył potężną epopeę obłędu, w dziełach jego spotykamy samych przestępców, epileptyków, prostytutki, samobójców i idyotów. Dzieła Tołstoja moglibyśmy nazwać anatomią patologiczną współczesnego społeczeństwa, gdyż poeta ten wdziera się skalpelem swej krytyki do wnętrzności naszego bytu, odkrywając i opisując bezwzględnie wszystkie chore narządy. Ibsen, najmłodszy w gronie znakomitości europejskich, nie jest weselszy od swych towarzyszy; namiętny i niezmordowany poszukiwacz złego, sonduje bez wytchnienia w przepaściach występku i głupoty ludzkiej. Bracia Goncourt'owie pisali swe romanse, jak traktaty kliniczne. A Bourget jest do tego stopnia przeświadczony o stanie chorobliwym dzisiejszej generacyi, że nie widzi dla niej ratunku po za szekspirowską radą: wstąp do klasztoru!

Tak więc dr. Adam Wizel twierdzi stanowczo, że wiek nasz niesłusznie otrzymał nazwę nerwowego, że nerwowość jego jest może lepiej zbadaną i więcej znaną, niż nerwowość stuleci ubiegłych, ale w żadnym razie nie większą, niż tamta. Co do przyszłości, autor wierzy naturalnie, że pod wpływem postępów medycyny i hygieny, odpowiednich zmian ustawodawczych, reformy wychowania, poprawy stosunków społecznych, oraz warunków ekonomicznych bytu, nerwowość wśród ludzkości zmniejszać się będzie potężnie.

Praca dr. Wizla, napisana stylem gładkim i potoczystym, językiem żywym i obrazowym, chociaż miejscami grzeszy może optymizmem zbytnim, czyta się z korzyścią niewątpliwą. Do specyalistów należy ocena niektórych poglądów i wniosków autora. Z naszego stanowiska stwierdzić winniśmy tylko, że studyum niezależnie od swej czysto-naukowej wartości, zasługuje z punktu widzenia pedagogiczno-społecznego na uwagę, jako jeden z objawów reakcyi przeciw prądowi pseudo-dekadentyzmu, nurtującemu od niejakiego czasu w pewnych warstwach społeczeństwa naszego.

Władysław Bukowiński.

Z estrady i sceny.

(P o p y c h a d ł o. Komedya w 4 aktach p. Jana Szutkiewicza.)

Jeden z literackich wróżbitów ogłosił przed kilku laty proroctwo, że przyszłość sceny należy do krotochwili i melodramatu, bo oba te gatunki twórczości teatralnej są wyrazem sztuki demokratycznej, nie kochającej tyle prawdę i subtelność, ile cyrkowe pląsy i tkliwe wzruszenia, tryumfujące cnoty i karane zbrodnie, olśniewające błyskotki i słońca po burzy. Kto wie, czy nasz wróżbita nie jest jasnowidzem. Demokratyzacya teatru jest ściśle złączoną z demokratyzacyą społeczeństwa. Teatr staje się potrzebą tłumu i tłum mu prawa narzuca. Losami jego częściej kieruje przedsiębiorca-spekulant, niż

artysta kochający arystokratyczne wyżyny sztuki. Nie idzie za tem, aby teatr przyszłości miał zamknąć bramy swoje dla wyższych rodzajów poezyi dramatycznej, lecz łatwo być może, że grozi mu zalew pospolitości, że królestwo tłumu, a z nim królestwo krotochwili i melodramatu stanie się dominującą cechą jego fizyognomii. Już dzisiaj mnożą się objawy pewnego zwrotu w tym kierunku, — dość przez pryzmat porównawczej krytyki spojrzeć na charakter nowych przedsiębiorstw teatralnych, powstających, jak grzyby po deszczu, w miastach i miasteczkach Europy.

Farsa mianowicie wstępuje na scenę z butą dorobkiewicza, — melodramat jeszcze się ociąga, jeszcze nie zdobył siły zaborczej i jeszcze nie dość właściwych i nie dość licznych znalazł fabrykantów. W polskiej literaturze mniej niż w którejkolwiek zyskał ten gatunek poezyi władzę i znaczenie, a mianowicie melodramat mieszczański wykazać się może zaledwie kilku wątpliwej wartości utworami. Przed kilku miesiącami jednak rozległ się w warszawskiej prasie okrzyk tryumfu — na deski wstąpiło „Popychadło".

Treść tej sztuki, którą afisz niewłaściwie ochrzcił komedyą, znamion oryginalnej inwencyi posiada nie wiele. To jedna łyżka z tuzina. Świętość, nękana w ogniu ludzkich podejrzeń, pasierbica w szponach brutalnej macochy, bogaty baron nastający na uczciwość pracownicy igły, kopciuszek zamieniony w królewnę — ot, co sobotnia premiera opowiada widzom. Stare dzieje — a przecież słuchałem prostej opowieści bez przymusu, chwilami z natężoną uwagą, chwilami z prawdziwie artystycznem zadowoleniem. Reklama warszawska, od której zapach kłamstwa zalatuje, i tu oczywiście szczygła w kanarka zmieniła, ale ponieważ z tej strony przyzwyczajeni jesteśmy do fabrykacyi orłów z pospolitych wróbli, więc nas ani dziwi ani razi ten szczygieł-kanarek.

Najlepszym w sztuce p. Szutkiewicza jest niewątpliwie akt pierwszy, najsłabszą czwarta i piąta odsłona. Ekspozycya utworu przemawia do nas silnym realizmem, opromienionym chwilami tchnieniem rzewnej poezyi. Na scenie wesele córki rzemieślnika. Wszystko tu mówi życiem: ludzie warsztatu i poddasza, brutalne instynkty i jakieś źle przyswojone okruchy wyższej kultury, język i formy suteryn. I nie są to szablony gminu, spotykane tak często w sztukach ludowych, lecz fizyognomje o indywidualnej barwie i rysach. Czy to macocha — kłótnica, czy stary ojciec, zafukane zero, czy pan młody, żeniący się po pijanemu, czy drużba-orator, — każda z tych postaci ma coś swojego, ma swoją duszę, swoje czucie, swój temperament, — więcej portret niż fotografia. A na ciemnem tle tego nieco ponurego zbiorowiska gminnych natur, poziomych umysłów i przejawów bestyalności ludzkiej, ukazuje się niby promyk słońca Marynia — kopciuszek i młody student uniwersytetu — królewicz z bajki ludowej. Plusk błota i muzyka fantazyi łączą się w akord dziwnie przejmujący, a gdyby nawet, jak ktoś powiedział, realizm autora nie był przedmiotem bezpośredniej obserwacyi ludu, lecz zręczną mozaiką z obcych dramatów, to ślady cudzej własności tak zręcznie zatarła ręka autora i z pożyczonych skrawków utkała tak zajmujący szmat prawdziwego życia, że brak oryginalności winą być przestaje.

W drugiej i trzeciej odsłonie bledną zalety utworu. Nici sztuki nie plączą się w artystyczne wiązania, perypetya nie piętrzy się w groźne urwiska i szczyty, akcya rozwija się sztucznie, forsowana grą przypadku i zdradzająca co chwilę maszynistę suwającego po scenie postacie swoje. Ale i tu jeszcze są momenta niepośledniej wartości, że tylko wspomnę świetną charakterystykę starego Jana i wizytę zgorzkniałego mizantropa z pokostem żółci i niewygasłą iskrą, drzemiącą w popiołach życia. A przytem historya kopciuszka i królewicza w studenckiem mundurze znowu czar swój właściwy roztacza po scenie. Słucha się tego jak bajki, — niby stara babunia opowiada sierocie wiejskiej o śpiącej królewnie i złocistym rycerzu, a w koło brudne życie, złość ludzka i łzy.

Czwarta zasłona przenosi nas ze strychu do wytwornego salonu. Zmienia się scena i z tą samą chwilą łamie się autor. Dawny zmysł obserwacyjny gdzieś się zapodział i na scenę wstępuje zlepek bladych reminiscencyi, jakieś cienie perfumowane i zgrzytające fałszem sytuacye. A gdy po raz piąty kurtyna się podnosi i dramat zmierza ku końcowi, autor tak konwencyonalnie zabiera się do rozplątania węzłów i takie stare sztuczki z rupieci dobywa, że trudno oprzeć się wrażeniu rozczarowania. Żal dzieła skrzywionego w połowie, żal, że ten strumień życia i poezyi, co tak wartko płynął w trzech pierwszych odsłonach, zarył się w piasku i zginął.

Lękałem się nieco wykonania sztuki, bo w pamięci mi stoi „Kaśka Karyatyda" w nieudolnej interpretacyi teatru naszego z ubiegłego sezonu. Dziś jednak z prawdziwą satysfakcyą zapisuję, że gra artystów była nie tylko poprawną, lecz chwilami nawet wznosiła się do wyżyn subtelniejszego artyzmu. W pierwszym rzędzie zadziwiał p. Olszewski jednolitą i plastyczną charakterystyką; prostota, egoizm, zdziecinniałość starego Jana, cały styl tej z bruku wyrosłej, poddańczej, bardzo prymitywnej natury, znalazł w panu Olszewskim inteligentnego przedstawiciela, który ani jednej intencyi autora nie lekceważył, ani jednego rysu z tej interesującej postaci nie uronił. Na równe uznanie nieomal zasługuje p. Knapczyński jako Ignacy, ten wiecznie pijany rzemieślnik, zalewający wódką nieszczęśliwe małżeństwo i żal za straconą kochanką. Chwilami zdradzał prosty bohater knajpy okrągłe ruchy salonowca z francuzkiej komedyi, lecz całość roli skąpana w bezpretensyonalnym humorze wywarła nader korzystne wrażenie. Z innych artystów wymieniam jeszcze p. Karpowicza, pełnego dystynkcyi i swobody barona, p. Czerniaka, w dobrze pojętej i cieniowanej roli starego mizantropa, oraz pana Stróżewskiego, który z wielką brawurą odtworzył postać energicznego drużby. Z kobiet wyróżniała się soczystym realizmem p. Królikowska, a p. Tarasiewicz i p. Biernacka otoczyli czarem poezyi role studenta i szwaczki. Była tam rzewna melodya cichej miłości i wielkiej prostoty.

W. R.

TO I OWO.

„Do niej."

Jednym z ciekawszych wypadków bieżącego sezonu literackiego w Paryżu jest specyalny numer, poświęcony sprawie kobiecej przez słynną ilustracyę „La Revue Encyclopedique". W numerze tym przyjmują udział najwybitniejsze siły świata kobiecego. Można bez przesady użyć tu wyrazu „świat", ponieważ nie będzie, jak się zdaje, zakątka na kuli ziemskiej, gdzieby kwestya kobieca nie znalazła szermierki, któraby nie przyjmowała udziału w zbiorowym numerze, jakby w demonstracyi powszechnej kobiet, żądających swych praw. Tym razem cudzoziemki nie zostaną skrzywdzone i odsunięte na plan drugi przez żywioł francuski, co się tu często trafia w podobnych okolicznościach. A będą to zawdzięczały inicyatorce i redaktorce numeru, którą jest nasza znana rodaczka, pani Marya Szeliga.

W dziale piór kobiecych spotykamy rodzaj wyznania pt.: „Do Niej", pióra jednej z autorek polskich. To „Do Niej" stosuje się jednak nie do kobiety, lecz do ojczyzny ukochanej nad wszystko, obecnej w duszy autorki zawsze i wszędzie. Przytaczamy to westchnienie serdeczne, korzystając nie z francuskiego przekładu, lecz z oryginału polskiego:

* * *

„Do Niej.... ...Gdybyś była okryta purpurą, uwieńczona koroną, skąpana w chwale, wsparta na potędze — może niebo twoje byłoby niezbyt chmurnem, szumy wichrów zbyt smutnemi, gleba za mało żyzną i kwiecistą; możebym wtedy odleciała Cię, szukając w strefach szczęśliwszych słońca wiecznego, kwiatów-cudów i duchów-aniołów.

Lecz pod niebem chmurnem, na roli zlanej łzami leżysz w pocie męki. Purpura twoja podarta na szmaty, korona skruszona w proch, chwałę uniosły echa smętne w mglistą dal przeszłości, potęga... tę masz jeszcze, gdy pchana do niebytu, jesteś — lecz świat mniema, że już nie masz żadnej i nad grobem, który więzi twego ducha, wznosi hymn potężnych ciałem: „Vae victis!"

Więc — o zwyciężona, zdeptana, smutna — u twego nieba chmurnego i wzdychającego łona, u stóp skutych i głowy odartej z klejnotów, uwisłam od brzasków młodości do mroków mogiły i Ciebie przenoszę nad wszystko. Każdego dnia, od brzasków poranka do mroków wieczora, klęczę przed Tobą pokorna i oddana, wtedy tylko prostując się i głowę podnosząc dumnie, gdy światu, który pogardził Tobą, powiedzieć mogę, że jestem córką Twoją!"

Do tych cudnych słów uniesienia my dodać tylko możemy wyraz radości, że w tej pamiątkowej książce dążeń kobiecych, przez Polkę dla kobiet wszystkich krajów ułożonej, głos znanej nam autorki, o której nazwisku zamilczeć musimy, podniósł zwrotkę niemilknącej pieśni narodu.

NA WYŁOMIE.

(Teorya o „bezwzględnej uległości". — Galanterya polityczna. — Obłudnicy. — Prawo krytyki. — Co mówi „Post"?)

Wspominałem już nieraz, że nasze ugodowo-klerykalne stronnictwo zapisało w księdze rozumu politycznego przykazanie bezwzględnego posłuszeństwa nietylko wobec monarchy i kleru, lecz wobec każdej władzy narodowej, którą dzięki swej przewadze liczebnej, zręcznym intrygom lub apatyi społeczeństwa na tarczy w górę uniosło i okrzyknęło królem lub królikiem. Kult autorytetów! wołają jedni, — ukrócenie krytyki! powtarzają drudzy! — i rozpoczyna się po całym kraju apostolstwo fałszywej subordynacyi, niby to w imię dobra publicznego, w imię przeciwdziałania tradycyjnej anarchii, w imię solidarnej obrony sprawy narodowej, a w rzeczy samej w interesie koteryi i kliki, którą trzy czwarte społeczeństwa nienawidzi w głębinach duszy, ale której ludzie jeszcze się lękają, jak mściwej potęgi, lub tolerują wskutek zamarcia inicyatywy społecznej, w skutek wybujałej apatyi i naszego poznańskiego „co mi tam!" Milczeć i słuchać! To słowo rozbrzmiewa wszędzie. Czy to na walnych zebraniach wyborczych, czy na generalnych przeglądach spółek zarobkowych, czy w To-

warzystwie czytelni ludowych, czy przed zarządem Pomocy naukowej, — zawsze to samo, zawsze mądry i zacny kto zaryglował usta, a nieprzyzwoity „warchoł“ i awanturnik, kto w śpiącą harmonią rzucił słowo negacyi.

Nowa redakcya „Dziennika Poznańskiego“ postanowiła oczywiście zaraz w pierwszym numerze złożyć uroczystą przysięgę, że nie myśli ani jednej chwili zrywać ze starą zasadą subordynacyi niewolniczej tam, gdzie przemówiła „mądrość berlińska“. Wysyłając pod adresem obu Kół polskich w sejmie i parlamencie wyrazy hołdu przy otwarciu nowej kadencyi, nie omieszkał brat Kuryerowy zalecić „*bezwzględnej uległości*“ wobec przedstawicieli narodu, a dla zadokumentowania, że na wiatr nie rzuca duserów swoich, ogłosił w piątkowym numerze drugi poddańczy artykuł. „My uchwałę Koła, *jakakolwiek zapadnie*, uznamy za prawidłową“, — zarzeka się „Dziennik Poznański“ a w dodatku bije się w piersi i woła, że „wzywać“ Koła do jakichkolwiek interpelacyi nie wypada, bo nam tylko przystoi „wyrażać życzenia“.

Co? To brzmi jak muzyka galanteryi francuskiej z XVIII wieku. Jakaś słodka „Marivaudage“ zmartwychstaje i gdy nos wyciera, spogląda w lustro, czy chustka w pięknie układa się fałdy. Niech was tylko, przyjaciele moi, nie łudzi ten miodowy śpiew politycznych rzezańców, niech was nie łudzi ta rzekoma zasadniczość „bezwzględnej uległości“ wobec przedstawicieli polskich w sejmie i parlamencie. Dziś mówią oni o posłuszeństwie „quand même“, bo wiedzą dobrze, że barwa „Koła“ jest barwą „Dziennika“ i „Kuryera“, i że subordynacya nie będzie dla nich ofiarą, nie będzie zaparciem siebie w imię zasady „bezwzględnej uległości“, — lecz wyrazom najgłębszych przekonań. Zasadę posłuszeństwa głoszą tak długo, dopóki ona dla nich jest wygodną, lecz rzucą ją na śmietnik z cynicznym uśmiechem, gdyby skład Koła się zmienił i „andere Vogel andere Lieder“ nucić kiedyś zaczęły. Jakże gorąco „Kuryer Poznański“ zalecał pietyzm i szacunek dla posłów, jakie on gromy ciskał na malkontentów i hyperkrytycyzm ludowców! Z tą samą chwilą jednak, gdy w gronie posłów pojawiła się opozycya, która tańczyć nie chciała w takt ugodowej piszczałki, wykrzywił usta i drwił i kąsał aż miło. Gdzież to się podział wtedy pietyzm, gdzie kult autorytetów? I niechaj mi pan dr. Łebiński raczy uprzejmie wybaczyć, że przypomnę mu wielki kałamarz żółci, wylany niegdyś pod maską Domarata na głowy tych samych powag politycznych, którym dzisiaj ofiaruje przywilej świętości. Wtedy mówiło się, że as kierowy i butelka szampana jest właściwym symbolem Koła polskiego, a dzisiaj zginą się z wyszukaną galanteryą kolana i woła: Święte, święte i po trzykroć święte!

Obłudo! grzybie trujący, jakże ty bujnie wyrastasz na niwach wielkopolskich. Kto ciebie pleni, ręce sobie pokrwawi i zginie, a przecież wolę śmierć taką, niż służbę w twojem królestwie.

Kłamstwem jest twoja teorya o „bezwzględnej uległości“ w obliczu posłów, i fałszem zgrzyta twoje „padam do nóg“ przed majestatem Koła polskiego. Podnosicie do wyżyn narodowej zasady to, co na czole swojem nosi piętno partyjnego oportunizmu, — pragniecie bizantyńską pokorę zamienić w dogmat polityczny, by onieśmielić rozbudzony krytycyzm. To cel ukryty waszego kuglarstwa, a byłoby źle z społeczeństwem, gdyby iść miało na lep tej komedyi.

Nie przeczyłem nigdy, że każdy naród musi mieć powagi swoje, którym powierza obronę swoich świętości i straż zaszczytną na szańcach, — lecz nie uznaję autorytetu, wobec którego społeczeństwo traci prawo sądu i prawo krytyki. Czy to kierownicy Czytelni ludowych, czy posłowie w Berlinie, czy ksiądz arcybiskup w tumskiem ministerstwie, żadna z tych powag praw nietykalności nie posiada, i choćby tysiąc razy oba Kuryery Poznańskie prawiły o anarchistycznych zakusach, my zawsze powołamy je do porządku tam, gdzie sumienie narodowe głos protestu podnieść nam rozkaże.

Tym głosem zapytujemy się dzisiaj, ile prawdy mieści się w sensacyjnem doniesieniu półurzędowego dziennika „Post“, które tu w dosłownem podajemy brzmieniu:

„Wiemy — mówi dziennik berliński — że i ks. Arcybiskup Stablewski życzy sobie dla ciężko nawiedzonej prowincyi spokojniejszych czasów i dla tego podług zapewnień, jakich niedawno temu udzielił jednemu z redaktorów pisma naszego, który miał sposobność omówienia z nim obszernie *sprawy polskiej*, możemy przyjąć, że i dla polskich nie skrajnych kół zmiana barw prowincyi poznańskiej w porę przyszła i pożądaną była, gdyż koła te pragną ograniczyć otwartą propagandę polską, która tak łatwo może przybrać rewolucyjny charakter“.

Tak mówi „Post“. Wiadomość ta dzisiaj obiega już całe Księstwo i budzi wspomnienia owej chwili, w której berliński „Borsen Courier“ ogłosił wynurzenia ks. Arcybiskupa Stablewskiego o emancypacyi narodowej Górnego Szląska. Wonczas „Kuryer Poznański“ zamieścił coś w rodzaju bardzo elastycznego sprostowania dla uspokojenia wzburzonej opinii publicznej. Dziś ta opinia znowu spogląda ku wyspie tumskiej z niemem pytaniem na ustach. Czy żaden z „Kuryerów“ naszych nie raczy przemówić?

Czekamy! *Sulla.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dziś, w sobotę, ukaże się po raz pierwszy na poznańskiej scenie czteroaktowa komedya Sudermanna p. t. „Walka motyli“. — W Sztokholmie wystawiono nowy dramat E. Hogmana p. t. „Weselny dzień lekarza“. Publiczność i krytyka przyjęły sztukę z zapałem. — Nowy dramat Wiktora Leona „Die Unmoralische“, który miał być przedstawionym w teatrze Rajmunda w Wiedniu, zakazany został ze względu na nakreśloną w nim postać księdza. — Do repertuaru warszawskiego teatru Rozmaitości wejdzie niebawem trzyaktowa komedya Lavadin'a p. t. „Książe D'Aurec“ w przekładzie Gabryeli Zapolskiej.

— **Uroczystość Mickiewiczowska.** Uroczyste przedstawienie na cześć wiekopomnego wieszcza naszego *Adama Mickiewicza* odbędzie się *w poniedziałek dnia 30 listopada* r. b. *w teatrze polskim.* Program: Część I: 1) Mazur „Czołem“ — Zaremba (wykona Kółko muzyczne „Sokoła“). 2) Prolog: „Marzenia matki“ — Walery Łebiński (wykonają pp. artyści sceny poznańskiej). 3) „O jakżebym klęczeć chciała“ (solo śpiew sopran) — Moniuszko. 4) Scherzo Bmoll (fortepian) — Chopin. 5) „Cieniom Wieszcza“ (chór męski) — B. Dembińskiego (wykona Koło Śpiewackie Polskie). 6) Żywy obraz: „Niedźwiedź Mospanie“ z „Pana Tadeusza“. — Część II: 7) Walc „Dzwony Kornewilskie“ — Metre (wykona Kółko muzyczne „Sokoła“.) 8) „Koncert nad koncertami“ (deklamacya) — Mickiewicz. 9) „Taki los wypadł nam“ (chór męski) — B. Dembiński (wykona Koło Śpiewackie Polskie). 10) „Valse de Concert“ (fortepian) — Wieniawski. 11) Arya Racheli z opery „Żydówka“ (śpiew solo) — Halevy. 12) a) „Loin du Bal“ — Gillet, b) „Marzenia“ — Szuman (wykona Kółko muzyczne „Sokoła“). 13) Żywy obraz: „Różeczce scyzoryk się kłania“ z „Pana Tadeusza“.

Ceny miejsc: Krzesło w loży prosceniowej parterowe i I piętra 3,10 m. Loże parterowe, I piętra i balkon I piętra 1,60 m., krzesło parterowe 1,10 m., loże II piętra 55 fen., balkon II piętra 2 pierwsze rzędy 65 fen., rząd trzeci i czwarty 55 fen., parter 35 fen., amfiteatr 25 fen., galerya 15 fen.

Biletów nabyć można w sobotę dnia 28 b. m. i w niedzielę dnia 29 b. m. u skarbnika Towarzystwa naszego p. Ziętkiewicza (firma Otmianowski) w Bazarze, w sam dzień przedstawienia zaś, w poniedziałek, przy kasie teatralnej. Dochód przeznaczony na cel tak szlachetny i humanitarny jak „Kolonie wakacyjne dla ubogiej dziatwy“, mamy przeto nadzieję, że Szan. Publiczność zapełni teatr po brzegi, a tem samem przyczyni się do urzeczywistnienia celu, który sobie „Stella“ założyła.

Uroczysta msza św. żałobna odbędzie się *w poniedziałek* dnia 30 b. m. o godzinie 8 i pół *w kościele św. Marcina.*

Zarząd Towarzystwa „Stella“.
A. Andruszewski, prezes. St. Trzeciakowski, sekret.

HUMORYSTYKA.

W poznańskich recenzyach teatralnych pojawiają się często takie dziwolągi, że możnaby dla nich stworzyć osobną rubrykę w pismach humorystycznych. Zwracaliśmy już niejednokrotnie uwagę na te próbki mimowolnego humoru, któremi panowie recenzenci częstują publiczność, ale bicz satyry nie wypłoszył krzyczących nonsensów z teatralnych bajań panów „literatów“. Przed rokiem śmiał się „Kraj“ petersburski z recencyi „Kuryera“, śmieją się także inne pisma zakordonowe, śmieje się rozumniejsza publiczność, śmieją się artyści, ale „głupstwo — jak mówi Nik Słowackiego — jest wieczne“, przynajmniej w Poznaniu. Tak n. p. jeden z recenzentów poznańskich lamentuje, że my Polacy dla tego zdobyć się nie umiemy na dobre komedye salonowe, ponieważ „komedyopisarze nasi pochodzą przeważnie z warstw mniej wykwintnych“, a potem gustują w towarzystwie cyganeryi, gdzie bawią się „tłustemi dowcipami i aż nazbyt swobodną pogadanką“. Wyrzekłszy to wielkie słowo, tak pisze krytyk poznański:

„Czy humunculus takiego urodzenia i otoczenia może stworzyć rodzimą salonową komedyę, owianą urokiem przyzwoitego dowcipu? Nigdy. — Stworzy czasem dramat, tragedyą, wysnutą nie z środowiska własnego życia trywialnego,(!) ale przez odbicie się w twórczym jego umyśle cudzych znakomitych dzieł.(!) lecz nie da nam salonowej komedyi....

„Ażeby napisać znakomitą komedyę salonową, któraby się dostała na europejskie sceny, trzeba badać życie w jego wielkoswiatowym i kosmopolitycznym rozkwicie, gdzie różne narodowości swobodnie się mieszają, *okryte puklerzem grzeczności przed nienawiścią międzynarodową.*(!) Tam się poznaje charaktery dodatnie i ujemne przez porównanie różnych szczepów, co tak korzystnie oddziaływa na dramaturga. My Polacy takie salony mamy dziś tylko w stolicach mocarstw rozbiorowych, a królują nad niemi petersburskie polskie salony.(!!)“

Gotowa zatem recepta na salonową komedyę. Gdy wam panowie komedyopisarze przyjdzie kiedy ochota zabrać się do twórczej roboty, pamiętajcie przedewszystkiem zapukać do „petersburskich polskich salonów“, gdzie spotkacie „różne narodowości okryte puklerzem grzeczności przed nienawiścią międzynarodową“. Tam dopiero nauczycie się tworzyć, — bez tego pozostaniecie marnymi skrybentami.

Lecz recenzent poznański nie zadawala się prostą receptą, — on pragnie także zadokumentować, że bywał w „petersburskich salonach“ i tam nauczył się pisać delikatnie, mówić słodko i dygać przed ludźmi, do których zwraca swe literackie oblicze. Tak tedy zamyka swe sprawozdanie teatralne:

„Kończąc, donoszę Pięknym Paniom i Szanownym artystom, iż, jeżeliby kto z nich uczuł się dotkniętym mojem sprawozdaniem, upraszam o piśmienne się zażalenie do redakcyi, (!) a ja się obszernie, listownie wytłomaczę. (!!) Pozostanie to wspólną tajemnicą, o której ani dyrekcya, ani publika nigdy się nie dowie. (!) — Nie jestem już rycerzem podwiązki, (!) lecz zawsze wyrozumiem drażliwość wrodzoną płci pięknej, choć staram się krytykować z oględnością w wysłowieniu. (!)

No, proszę! Nie jestże to „galantny facet“ — jak mówią kucharki poznańskie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Mi — mi.** Za list sympatyczny dziękujemy serdecznie. Czy życzenia Pani się spełnią, dziś jeszcze powiedzieć nie możemy — ale zapewniamy, że najusilniejsze starania są w biegu.

— **Karol B.** Wierszyk wystosowany pod adresem ks. Laubitza i ks. dr. Warmińskiego jest bardzo dowcipny, lecz umieścić go nie możemy przez wzgląd na ewentualną kolizyę z prokuratorem.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)